

Nieboskie „Wesele”

Kto czytał „Nieboską komedię”, nie bez trudu rozpozna ją na scenie Teatru Powszechnego. Kto nie czytał, pomyśli: cóż to za płaski i drętwy utwór! Z dramatu Krasińskiego pozostała połowa, dwie pierwsze części wyleciały w całości. Ale i ta połowa w strzępach. Lidie Zankow interesowała tylko rewolucja. No, dobrze, niech będzie. Tylko, że u Krasińskiego rewolucja ta wpisana jest w poetycką, apokaliptyczną wizję świata. Wizję, w której liryka (rozprawa z samym sobą, z poezją i z życiem) miesza się z dialektyką społeczną. Pełna ekspresji dramatyczność wyraża się w metaforycznych skrótach, w grze ostrą, choć ułamkowo, zarysowanych konturów, w wymowie chórów i asyście głosów z zaświata. Cała romantyczna konwencja poetycka — w formie i treści, jeżeli ktoś koniecznie chciałby te dwie nierozłączne ze sobą sprawy rozróżnić oddzielnie.

Wyrwać z tego kontekstu dwa, trzy obrazy, „oczyścić” je z wszelkich odcieni i naliotów poezji, przymalować grubymi farbami, to znaczy rozszalały świat „Nieboskiej komedii” zamknąć w naiwnej i prostackiej agitce kukielkowych figurek. Tak właśnie się stało w Teatrze Powszechnym. A więc najpierw obraz pierwszy przedstawienia: sabbat rewolucji w obozie buntowników zamienia się w festyn w Grójcu z karuzelą, popisami siłaczy, tańcami, muzyką i ogólną wrzawą. Niezemu to nie służy, a tłum aktorów nie bardzo wie, co ma ze sobą robić. Wśród zbiegowiska pęta się nie wiadomo po co Hrabia Henryk (Edmund Fetting). Muzyka chwilami przycicha, zza kulis odzywa

się tylko melodyjno-rytmiczny szum, scena pustoszeje, pozostaje Pankracy (Leszek Herdegen) z zapalczywym Leonardem (Janusz Bukowski), toczą rozmówki raz po raz przerywane nawrotem wrzawy i powrotem korowodu tanecznego. Znowu krótka scena dialogowa i znowu: raz do koła! (a także raz do goła). I tak dalej. Jak w „Weselu”. To skojarzenie wydaje się przypadkowe, stwierdza się je żartem. Ale nie. Finał pokazuje, że to robota świadoma, choć bez sensu.

Tymczasem jednak jesteśmy w obrazie drugim, w obozie Hrabiego Henryka. Tam zwyciężający lud, tu ginąca arystokracja. Cóż z tego, kiedy Hrabia Henryk jest postacią bez życiorysu. To znaczy z życiorysem, ale ankietowym, gdzie wpisana jest tylko jedna rubryka: pochodzenie społeczne. Nie ma poety, co „dramat układa” z życia, co za to, że nie nie kochał, nie nie czcił prócz siebie i myśli swych, potępion jest na wieki. Jak można grać ankietę? Nic dziwnego, słynna dysputa z Pankracym brzmi pusto, skoro sam unroszczony Henryk nie wierzy w swoje racie. Zjawia się Orcio, w tym układzie też nie wiadomo po co, chyba żeby w melodramatycznej scenie pokazać, że jednak Henryk nie jest pozbawiony ludzkich uczuć rodzicielskich wobec chorego dziecka.

Potem już świat pędzi ku zagładzie z szybkością... obrotówki. Zdobycie okopów jak w wodewilu, sąd rewolucyjny i końcowa wizja Pankraciego. „Galilae, vicisti!” — wypowiada on ironicznie, bo oto, jakie to zwycięstwo. Sunie senna procesja z feretronami i chorągwiemi w takt chocholich, przepraszam, modlitewnych zawodzeń — jakby zaczadzona. Jasiak Leonard próbuje obudzić z zaśpienia wołając: Hej! obywatele-hej! bracia-demokraty... Na próżno — czar trwa. Na szczęście przychodzi z pomocą maszyna teatralna, zmiata lub unosi w górę wszystko ze sceny. Wychodzi ktoś, nie wiem już kto, może sam Krasiński, w każdym razie jakiś inteligent czy inne nieboskie stworzenie i zapowiada, że jednak myśl ostatecznie zwycięży. Tym optymistycznym akcentem kończy się przedstawienie.

Jedno jest tu zdumiewające: genialność Wyspiańskiego, że wymyślił „Wesele”. Spod tej obsesji narodowej i artystycznej nie można się wydobyć, a chocholi taniec w różnych wersjach i trawestacjach ciągle funkcjonuje w niezliczonych dziełach wszystkich rodzajów sztuki. W dziełach wielkich i małych, udanych i chybionych, boskich i nieboskich.

Zygmunt Krasiński — Nieboska komedia — Reżyseria: Lidia Zankow — Scenografia: Andrzej Sadowski — Kostiumy: Marek Dobrowolski — Choreografia: Wanda Szczuka — Muzyka Stanisław Syrewicz (Teatr Powszechny).